

MARCIN KULA

Uniwersytet Warszawski

NARODY A MIGRACJE. ESEJ Z SOCJOLOGII HISTORYCZNEJ

W pewnym sensie historia wszystkich narodów zaczyna się od migracji. By ukształtował się naród – i to niezależnie od tego, co pod tym terminem rozumiemy – musi istnieć pewna liczba ludzi. Nie jest to warunek wystarczający, ale niewątpliwie konieczny. Otóż podobno wszyscy – choć trudno w to uwierzyć – wywodzimy się z Afryki. Nadto, przynajmniej w Europie, dopiero tzw. wędrówki ludów rozmieściły naszych przodków z grubsza biorąc tam, gdzie dziś żyjemy. Gdyby nie wędrówki ludów, to istnieje pewne prawdopodobieństwo, że dzisiejsi Serbowie i Chorwaci żyli by w Wielkopolsce i w Małopolsce, podczas gdy my chyba za Uralem (jeśli, oczywiście, w ogóle utrzymałaby się jakakolwiek ciągłość grup!). Jako ostatni do europejskiego stołu przyszedli w tej wędrówce Węgrzy, gdy „zajęli Ojczyznę” (jak mówią) nad Dunajem.

Nawet już po zajęciu swoich potencjalnych ojczyzn wszystkie społeczności europejskie potężnie się mieszały, migracje oraz ich oboczne formy (np. wojny) nie były niczym nadzwyczajnym, a stabilizacja etniczna poszczególnych grup jest mitem mniej więcej takim jak ten o Niemcach jako wysokich blondynach, głoszony akurat przez Hitlera. Ideologie nacjonalistyczne, przedstawiające swoje kraje jako państwa narodowe, najczęściej nie biorą pod uwagę jakże licznych „domieszek”, które pojawiły się w ciągu trwających od dawna migracji (Kraj Basków, państwa bałtyckie). Mnóstwo ludzi pochodzenia niemieckiego stało się Polakami do tego stopnia, że nikt nie pamięta dziś o ich korzeniach. Przypomniał je niedawno album „Polacy z wyboru. Rodziny pochodzenia niemieckiego w Warszawie w XIX i XX wieku” (Markiewicz, Świątek, Wittels, 2012). Podobnie idea czystości kulturowej jest bez sensu. Mickiewicz urodził się w Nowogródku, nie żył nigdy w Polsce, nie znał żadnej z polskich stolic, w zdenerwowaniu mawiał „paszoł won”, nie wziął udziału w żadnym z polskich powstań narodowych i poemat narodowy zaczął od słów „Litwo, ojczyzno moja”. O licznych importach kulturowych do każdej kultury definiowanej jako narodowa wręcz nie warto

mówić. Nawet kremówka z Wadowic, od pewnego czasu superpolska, jest zrobiona na cieście francuskim.

Wręcz wizja przestrzeni przynależnej grupie w niepamiętnych czasach jako tym, z których powstał naród – wizja bardzo istotna w ideologii narodowej jako idea siedziby przodków (utrzymanej, odzyskiwanej, utraconej, a przynajmniej wyobrażonej) – jest mitem. Zależność przyczynowa mogła być wszak odwrotna. Nie mniej lub bardziej ukonstytuowana grupa zajęła dany teren, bądź wyobraziła go sobie jako swój, ale ci, którzy dla zbiegów przypadków akurat tam żyli, ukształtowali się w grupę – wcale nie zamieszkując jej „od zawsze”. Koncepcja Biskupina jako grodu Słowian (czyt. poprzedników Polaków?) ma tyle sensu, ile nazwa „Ziemie Odzyskane”, z naciskiem stosowana przez rzekomo internacjonalistycznych komunistów po 1945 r. Jeśli już, to sensowniejsza jest w tym wypadku motywacja czy to emigrantów polskich na południu Brazylii, czy Żydów we współczesnym Izraelu, czy Polaków na Ziemiach Zachodnich: „Myśmy zaorali tę ziemię (obrócili lasy w pola, pustynie w pola, bagna w pola, ruiny w miasta) więc jest nasza”.

Jak wiadomo, istnieją jednak także narody, które nie aspirują to jednolitej genezy etnicznej, do jednej ziemi, nawet do jednej kultury. Przyjęły pewne grupy, ukształtowane w liczącej się, znaczącej, nawet przeważającej mierze z migrantów; narody powstałe w czasach późnych, do dziś włącznie. Można mówić o narodach cechujących się przewagą procesów emigracyjnych w różnych okresach historii (Polska) oraz o takich, które raczej przyjmowały imigrantów (tradycyjnie Francja). Takie role zmieniały się jednak w czasie (Szwecja, Irlandia, Francja czasów najnowszych). Nawet z krajów trzech Ameryk, które w swoim dzisiejszym kształcie powstały dzięki napływowi imigrantów, zdarzały się większe czy mniejsze fale emigracyjne, zwłaszcza oczywiście z Ameryki Łacińskiej. Bywają też narody, które zjawisko migracji dotyczyło często. Stąd smętny „dowcip”, odnoszący się do rzeczywistości żydowskiej: „Gdzie ci dobrze? W drodze”. Prawda, że w tym wypadku odniesienie pojęcia narodu jest szczególnie skomplikowane.

Zjawisko amalgamacji ludzi w narody na skutek przemieszczeń mogło przybierać i przybierało bardzo różne formy, także dalekie od dobrowolnych migracji „za chlebem” (pomińmy, że już samo pojęcie „dobrowolne” nie jest tak oczywiste, jak mogłoby się wydawać). Mogło przybierać formę przesiedleń przez despotów. Migranci mogli przybywać pod przymusem jako niewolnicy, zesłańcy, jako służba kontraktowa, jako robotnicy przymusowi, jako żołnierze więzi do niewoli lub/i rzuceni daleko od swych domów przez wojny, jako przestępcy, jako zesłańcy lub/i więźniowie-zesłańcy, jako uciekinierzy wojenni. Mogli przybywać jako wygnańcy polityczni, etniczni lub/i religijni. Mogli być przesiedleńcami, którym taka sytuacja zdarzała się z różnych powodów.

Sytuacja zastana przez migrantów mogła być też bardzo różna. Mogli być przyjęci jako przybysze do ukonstytuowanego grona. Naród mógł budować się przeciw nim. Migranci mogli się doklejać do miejscowej społeczności, a mogli chcieć ją zdominować i faktycznie zdominować. Nieraz imigranci musieli mniej czy bardziej dostosować się w roli podrzędnej do społeczności, z którą wchodzili w kontakt, a nieraz to oni zajmowali pozycję dominującą i oni przesądzali o dominującej wizji narodu.

* * *

Migracje zdecydowały o „stanie skupienia” narodów. Mamy wszak w dziejach, aż do dziś, do czynienia z całym continuum owych stanów – od całkowitego rozproszenia do całkowitego skupienia na jednym terenie. Przykładem sytuacji pierwszej mogą być Żydzi (do niedawna) i Romowie. Idealnego przykładu sytuacji przeciwnej nie ma, gdyż nie ma narodu, który gdzieś nie miałby swoich wychodźców – ale można wskazać takie, które mało rozpraszaly się w dziejach. Łatwo wskazać narody o licznych diasporach (Chińczycy, Hindusi, Żydzi, Irlandczycy, Polacy, Kubańczycy...) i o nielicznych (Francuzi, Niemcy...). Owe diaspory też zresztą nie są porównywalne. Inna jest diaspora rozproszona na całym świecie, jak np. chińska, a czym innym skupienie np. Kubańczyków z grubsza w Miami. Migracje przychodźcze nieraz decydowały też o stopniu homogeniczności narodów przyjmujących. Jak wiadomo, niektóre narody powstały z migrantów w wyniku procesów nawet stosunkowo późnych. Mogła zaistnieć wszakże sytuacja, gdy naród powstał dzięki – użyjmy określenia – jednorazowej migracji – aczkolwiek była to przyczyna pośrednia, którą trzeba wymienić po odmienności religijnej i wynikłym z niej konflikcie, jaki tę migrację uruchomił (Pakistan).

* * *

Migracje mają wpływ na charakterystykę narodu, w tym na świadomość narodową. Zjawisko migracji wewnętrznych może homogenizować naród (zostawmy na boku definicję migracji wewnętrznych; czy migracje Polaków z zaboru pruskiego do pracy w Zagłębiu Ruhry były migracjami wewnętrznymi, czy zewnętrznymi?). Zjawisko migracji zagranicznych może zwiększać świadomość narodową. Zarówno u wyjeżdżających, jak przybywających, jak przyjmujących, może wzmacniać pytanie „kim jesteście?”. Emigranci, za granicą bardziej niż dotychczas odczuwający swoją przynależność do danego narodu, nieraz może dopiero w drodze lub na emigracji dowiadawali się, że są Polakami. Może nawet obarczali wrogów narodu odpowiedzialnością za konieczność decyzji emigracyjnej. Tacy ludzie mogli oddziaływać w kierunku zwiększenia świadomości

narodowej swego kraju macierzystego (wychodźczego). Przykładami Irlandia i Polska.

Fale migracyjne mogą wszakże homogenizować elementy tożsamości narodowej w płaszczyźnie ponadnarodowej. Wraz z migrantami (acz niekoniecznie z nimi) w dzisiejszym świecie wędrują elementy symboliki dotychczas związane z poszczególnymi narodami, wręcz charakterystyczne dla każdego z nich. Z kolei narody mogą chcieć owe elementy tożsamości wzmacniać w reakcji obronnej.

Zjawisko jest powiązane ze zmianą cywilizacyjną. Inaczej musiano kiedyś odbierać pojawienie się jakiejś jednonarodowej fali imigracyjnej lub istnienie uważanych za konieczne do tolerowania, ale generalnie jakoby nienormalnych mniejszości narodowych, niż definiuje się dzisiejszą sytuację – gdy Paryż, Londyn i Berlin, czyli nawet stolice krajów do niedawna relatywnie homogenicznych narodowo, są bezapelacyjnie międzynarodowe, zaś walka z różnorodnymi konsekwencjami tego zjawiska przypomina walkę z wiatrakami. Można podnosić hasła przeciw imigrantom, można wygrywać ich obecność jako argument w polityce, ale grający tym narzędziem politycy chyba zdają sobie sprawę, że większości z nich nie odesłają na żaden Madagaskar. Jakiś stopień integracji będzie nieunikniony; pytanie, czy pójdzie (czy musi pójść) za tym przyjęcie do wspólnoty narodowej. Pytanie, czy przybysze oraz ich potomkowie też tego zechcą. Może model wspólnoty działania przy zachowaniu różnych tożsamości będzie realniejszy. Jedno jest pewne: wbrew nadziejom niektórych ci ludzie nie wyjadą, a trzeba mieć nadzieję, że nowy Hitler nie pojawi się – choć stosowane przezeń narzędzia użyto niedawno choćby na Bałkanach. Sam zresztą instrument homogenizacji narodu, jakim są znane także z naszych czasów czystki etniczne dokonywane przez zmuszanie „obcych” do ucieczek (też migracje!), jest dostatecznie przerażający.

* * *

Naród może zapomnieć o swych rozproszonych cząstkach, ale może też włączać tych ludzi w swój zakres, nawet niezależnie od ich chęci. Może pysznić się nimi, budować wizję swojej potęgi przez mówienie ilu to jego członków jest na świecie i co też świat im (jemu) zawdzięcza. Może traktować ich jako forpocztę ekspansji narodowej, zapisywać ich zasługi na swoje konto – choć czerpanie wynalazcy z myśli i kultury kraju wyjściowego w danej sprawie może być żadne. Nawiasem mówiąc, ciekawe czy narody traktują jako swoich wychodźców rekrutujących się spośród mniejszości narodowych. Może to układać się bardzo różnie. W Polsce, gdy wychodźca z mniejszości narodowej staje się sławny na świecie, to obecnie na ogół przypomina się skąd się wywodzi.

Rzadziej myśli się o tym jak przybysze wzbogacili kulturę kraju, który ich przyjął. Pewno częściej w dziejach dokonywano działań typu polonizacji nazwiska Chopin niż podkreślano pozytywną wielokulturowość migrantów.

* * *

Procesy migracyjne są uwikłane w dzieje narodu oraz w wizję (wizje) tegoż narodu – i także z tego powodu zajmują miejsce w myśleniu o nim. W Irlandii wielka emigracja wiąże się z narodową klęską, jaką była zaraza ziemniaczana. W Polsce widziano w emigracji kolejne nieszczęście zniewolonego kraju, potem, kompensacyjnie, narzędzie ekspansji, jeszcze później – zasadnie – odprysk nieszczęścia, jakim była wojna i powojenna zmiana granic oraz ustroju. W działaniach władz czasu schyłkowego komunizmu, zmierzających do doprowadzenia do emigracji ludzi „Solidarności”, widziano kolejne działanie antynarodowe.

Dla Tatarów krymskich przymusowa migracja była równoznaczna z narodową klęską. Wielka migracja Niemców pod koniec wojny i po wojnie była związana z największą klęską (mniejsza w tej chwili, że zasłużoną) tego narodu w dziejach. Z „remanentem” wojny były związane dalsze niemieckie migracje – ucieczki z NRD, które miał powstrzymać mur berliński i, ostatecznie, masowa ucieczka ludzi z NRD przez Warszawę, Pragę i Budapeszt w fazie padania komunizmu. W tym wypadku migracja była też opowiedzeniem się za jednością narodu niemieckiego, przeciw idei Socjalistycznego Narodu NRD. Z punktu widzenia wiedzy o zjawisku narodowym było to ciekawe o tyle, że naród niemiecki jest zjawiskiem stosunkowo późnym, zaś powojenny podział polityczny poniekąd odtworzył dawny podział dzielnicowy. Okazało się, że naród raz zjednoczony i, być może, umocniony przeżyciami dalszej historii, nie da się już rozdzielić. Goethe pozostał poetą niemieckim, nie zaś poetą Socjalistycznego Narodu NRD – mimo pogrzebania w Weimarze, co do czego STASI nie omieszkała upewnić się przez tajną ekshumację.

Z punktu widzenia koncepcji narodu żydowskiego najpierw wygnanie, potem diaspora, a następnie narodziny idei powrotu i realny powrót części, a w intencji wszystkich Żydów do dzisiejszego Izraela, stanowią punkty zasadnicze. Wypadki powrotów – a przynajmniej ruchów ideologicznie definiowanych jako powroty – były lub miały być nowymi narodzinami narodu, często po klęskach.

* * *

Sposób widzenia imigrantów stanowił i stanowi fundamentalny element koncepcji narodu, zwłaszcza w krajach, gdzie napływ przybyszów był liczny lub/i fundamentalny dla kształtu narodu. Jeżeli napływ nie zaburzał dominacji

autochtonów, powstawało pytanie, czy, kiedy, w jakich dziedzinach i w jakim stopniu przybysze byli uznawani za część tegoż narodu. W sytuacjach, gdy to przybysze stawali się czynnikiem dominującym na danym terenie i w tamtejszym społeczeństwie, pojawiało się pytanie w jakim stopniu powstawał, lub nie, jeden naród oraz jakie były uwarunkowania tego procesu – oraz czy powstawał jedynie przez zbliżanie się różnych grup przybyszów, czy obejmował także autochtonów. Kształtujące go koncepcje były oczywiście bardzo ważne, ale zachodzące procesy nie były zależne tylko od nich, nieraz zresztą to procesy warunkowały też koncepcje. W Afryce Południowej, czy w Australii, nikt nie chciał jednolitego narodu przybyszów i tubylców. W Meksyku z czasem narodziła się ideologia jednolitego narodu metyskiego. Na Placu Trzech Kultur w mieście Meksyk, gdzie obok zakonserwowanych wykopalisk prekolumbijskich znajduje się kolonialny kościół i nowoczesny gmach Ministerstwa Spraw Zagranicznych, umieszczono tablicę: „13 sierpnia 1521 roku, po bohaterskiej obronie Cuauhtemoca Hernán Cortés zapanował nad Tlatelolco. Moment ten nie był ani chwilą triumfu, ani klęski. Stanowił bolesne narodziny narodu Metysów, jakim jest dzisiejszy Meksyk”. Obawiam się jednak, że taki, jednolity, metyski naród meksykański jeszcze chyba nie powstał. Zarazem Malinche, indiańska kochanka Corteza, jest jednak negatywnym symbolem dla wszystkich, także dla potomków Kreoli – aż do wejścia do języka potocznego słowa *malinchismo* na określenie zdrady.

Odrębną kwestią jest powstawanie narodów w całości imigranckich, gdzie autochtoni w praktyce nie liczyli się (byli nieliczni, słabi, bądź szybko zostali wyróżnieni). Paradoksalnie nawet współczesny Izrael można zaliczyć do takich społeczności, choć w ramach przyjętej ideologii syjonistycznej (mającej korzenie znacznie dawniejsze!) imigranci byli tam reemigrantami (repatriantami). Jeśli nie liczyć garstki Żydów, którzy w kolejnych pokoleniach stale trwali w Palestynie, to aż do ludzi z pokoleń urodzonych na miejscu każdy przybył tam skądś. Jak w Polsce nieraz używa się określenia „Polak żydowskiego pochodzenia”, tak w Izraelu można by powiedzieć „Żyd/Izraelczyk takiego, czy innego pochodzenia”.

Jeszcze innym zagadnieniem jest powstawanie narodu w sytuacji, gdy przybysze byli przywożeni jako niewolnicy, zaś ich włączenie do narodu było zarazem procesem wyzwolenia i awansu społecznego. Niezależnie od wszystkich zastrzeżeń w stosunku do przebiegu tego procesu np. w Brazylii, przebiegł on tam głódziej i skuteczniej niż np. w USA.

* * *

W obecnych czasach pojawiła się możliwość jeszcze niedawno bardzo ograniczona: narodu w pewnych wymiarach jednolitego, a w pewnych istotnie zróżnicowanego. Do niedawna takie zjawiska były ograniczone do, powiedzmy,

Szwajcarii, czy Belgii (miejmy nadzieję, że właśnie współczesny bieg historii nie przekreśli tego ostatniego przykładu). Żydów w Polsce międzywojennej nieraz paradoksalnie preferowano z ich odrębnością kulturową i zdefiniowanych jako odrębny naród niż jako ludzi włączających się w naród polski (w ówczesnej terminologii: asymilujących się i zasymilowanych). Nawet w krajach typowo imigranckich starano się o jednolitość narodową, choć w tych wypadkach mogła to być jedynie jednolitość wynikająca z amalgamacji wszystkich ze wszystkimi (wspólnej pramatki już nie dawało się wymyślić).

Dziś, w niektórych krajach zróżnicowanie narodowe w ramach „narodu wyższego rzędu” wciąż jest trudno wyobrażalne. Tendencje takie jednak istnieją. Jeden z dziennikarzy francuskich zapytał swego czasu Algierki, żyjącej we Francji i obywatelki francuskiej, czy jest gotowa śpiewać „Marsyliankę” jako własny hymn. Odpowiedziała afirmatywnie – ale, dodała, pod warunkiem, że będzie mogła śpiewać po arabsku. Mała szansa, by Francuzi zgodzili się na takie lub analogiczne rozwiązania. W Polsce coś takiego też – mimo całej ewolucji – byłoby mało prawdopodobne, podobnie jak wybór na prezydenta osoby z kręgu tradycji niechrześcijańskiej. Któryś z niedawnych prezydentów Francji, przemawiając na uroczystości francuskiej wspólnoty żydowskiej podkreślił pełną swobodę kultywowania przez każdego swojej kultury, ale zaznaczył, że wszyscy francuscy Żydzi są po pierwsze Francuzami. W Polsce wciąż dominuje koncepcja narodu etnicznego – niezależnie od tego, co to właściwie znaczy – a nie obywatelskiego.

Z rozważanego punktu widzenia bardzo ciekawa – podobnie jak w wielu rozpatrywanych sprawach należałoby lepiej powiedzieć: smutnie ciekawa – była i jest wspomniana wyżej sprawa żydowska w Polsce, czyli sprawa potomków ludzi przybyłych przed wiekami. Nic nie wskazuje, by w czasach przedwojennych miał tu powstać wzajemnie akceptujący się jeden, zróżnicowany naród obywatelski. W studiowanych kiedyś przeze mnie losach z grubsza typowej (pomińmy co jest typowe) warszawskiej rodziny żydowskiej prawie nie pojawiają się pozaformalne kontakty z ludnością chrześcijańską (Kula, 2007). Mieszanych małżeństw, które są dobrym wskaźnikiem integracji, była wtedy w Polsce znikoma liczba. Żadna ze stron prawie nie otwierała się na drugą. Dyskusja czy wcześniejsze jest izolowanie grupy żydowskiej, czy jej samoizolowanie się, przypomina dyskusję co jest wcześniejsze, jajo, czy kura – jeśli nie wracać do wczesnego średniowiecza, a jeszcze lepiej do roku zerowego (faktycznie niedokładnie zerowego) i zarzutu bogobójstwa. Nawet dziś, gdy na skutek Holokaustu Żydzi są tu już nieliczni i zasymilowani, są odróżniani od Polaków w potocznym rozumowaniu większości ludzi.

Z zakresu stosunków polsko-żydowskich (jak się mówi potocznie, właśnie podkreślając rozróżnienie narodowe) najbardziej zmartwiły mnie nie najczęściej

wymieniane epizody i zjawiska skrajnie naganne, ale dzienniki pisarzy Jarosława Iwaszkiewicza, Marii Dąbrowskiej, Zygmunta Mycielskiego (Iwaszkiewicz, 2011; Dąbrowska, 2009; Mycielski, 2001). Tych ludzi w żadnym wypadku nie można oskarżać o antysemityzm. Zarówno w swoich działaniach, jak w dziennikach dali dowody postawy przeciwnej. Jednocześnie przecież wciąż zaznaczają kto z ludzi, o których piszą jest Żydem (Dąbrowska używa angielskiego *Jew*, jak gdyby się wstydziła). Zupełnie tak, jak wśród ludzi pochodzenia żydowskiego nieraz mówi się kto jest Żydem – jak gdyby obie społeczności nie zetknęły się przed wiekami. Niektóre zdania Iwaszkiewicza wręcz bulwersują. Przy czytaniu ich trzeba mocno pamiętać, że ten człowiek był wyróżniony jako Sprawiedliwy.

Iwaszkiewicz o Leszku Kołakowskim

„Cieszę mnie to, że Leszek odgrywa taką rolę na Zachodzie, zawsze go ceniłem i lubiłem, zawsze odnosiłem się do niego serdecznie, a jednocześnie miałem pewną nieufność do jego rozumowania. To niedobrze, że on się ożenił z Żydówką, czy to mu trochę nie wypacza rozumowań?” (Iwaszkiewicz, 2011:303).

Iwaszkiewicz o Karolu Modzelewskim

„... zaczęły się te bzdury z KOR-em, czyli Komitetem Obrony Robotników. Tak jakby polski robotnik (wspaniały i rozumiejący) nie umiał dać sobie rady i potrzebował opieki starego durnia i pijanicy Andrzejewskiego i jeszcze podobnych facetów. I znowu Zachód będzie twierdził, że to jedyna Polska ten zapijaczony pederasta (Andrzejewski), Karol Modzelewski, Żyd rosyjski nie mający w sobie ani krwi polskiej w żyłach i tym podobne chaziazstwo. A Polska – i to Polska robotników i chłopów jest naprawdę wolna – ale nie tam, gdzie się tym idiotom wydaje. W dalszym ciągu nikt nic nie rozumie. Mnie się też już w głowie mąci” (Iwaszkiewicz, 2011:491).

Takie podejście właśnie demonstrowa rozdział pomiędzy Polakami a Żydami. Jest tym przykrzejsze, iż mowa o wybitnych pisarzach. Na dodatek niestety trudno powiedzieć zwłaszcza o Marii Dąbrowskiej, by była wyobcowana z narodu jako intelektualistka; raczej przeciwnie, chyba nieźle reprezentowała tzw. „przeciętną” psychologię. W wypadku tłumu pogromowego czy chuligańskich okrzyków na stadionach sprawa jest intelektualnie prostsza.

* * *

Nieraz odnosi się wrażenie, że ruchy ludności są pamiętane wiecznie. Na początku XX w. Turcy wyrzucali Greków przybyłych do Azji Mniejszej w trakcie Wielkiej Kolonizacji Greckiej. Gdy sytuacja ekonomiczna w ZSRR/Rosji stała

się bardzo trudna, o swojej greckości przypomnieli sobie tzw. Grecy Pontyjscy, których przodkowie też przybyli nad Morze Czarne podczas Wielkiej Kolonizacji. Jeszcze innym przykładem mogą być tzw. Niemcy wołżańscy, sprowadzeni do Rosji za Katarzyny II. Pamięć o wygnaniu też może być nieograniczona. Przykładem społeczność żydowska i sprawa żydowska. To nie jest „tylko” pamięć wygnania i rozproszenia. W 1968 r. Hiszpania odwołała tzw. Edykt z Alhambry z 1492 r., nakazujący Żydom opuszczenie kraju. Choć edykt nie miał już żadnego praktycznego znaczenia, widać był on wciąż sprawą istotną – dla jednych, dla drugich, lub dla obu stron.

Nie w takim wymiarze historycznym, ale też budzące zdumienie przykłady można napotkać również znacznie bliżej. W kwietniu 2012 r., jedna z polskich stacji telewizyjnych pokazała sprawę nie mającą szerszego znaczenia, ale drastyczną z punktu widzenia wymiaru sprawiedliwości. Pod Poznaniem komornik zajął mianowicie za długi traktor innemu rolnikowi niż miał zająć. No i pokrzywdzony, ze skądinąd uzasadnionym oburzeniem, zadeklarował przed kamerą: „Ja jestem wielkopolski rolnik, nie przywieziony w kartonie z za Buga!”. Z grubsza trzy pokolenia minęły, a wciąż są w tych okolicach – nazwijmy to tak – tutejsi i nietutejsi!

BIBLIOGRAFIA

- Dąbrowska M. (2009), *Dzienniki 1914–1965 w 13 tomach*, Warszawa: Polska Akademia Nauk, Wydział I Nauk Społecznych, Komitet Nauk o Literaturze.
- Iwaszkiewicz J. (2011), *Dzienniki 1964–1980*, A. i R. Papięscy, R. Romaniuk (red.), A. Gronczewski (wstęp), Warszawa: Czytelnik.
- Kula M. (2007), *Autoportret rodziny X. Fragment żydowskiej Warszawy lat międzywojennych*, Warszawa: Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne.
- Markiewicz T., Świątek T. W., Wittels K. (2012), *Polacy z wyboru. Rodziny pochodzenia niemieckiego w Warszawie w XIX i XX wieku*, Warszawa: Dom Spotkań z Historią.
- Mycielski Z. (2001), *Dziennik 1960–1969*, Warszawa: Iskry.

